

dr hab. Jacek Staniszewski
Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku
Wydział Grafiki

10.09.2016
Sopot

Recenzja

Dorobku twórczego, działalności artystycznej, opracowana w zawiązku z wszczętym postępowaniem o nadanie tytułu doktora pani mgr Annie Piesiewicz w dziedzinie sztuk plastycznych, w dyscyplinie artystycznej sztuki piękne w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Moda. Czymże jest to coś, które przynajmniej raz dziennie pojawia się wymówione w mediach i wrosło w naszą terażniejszość mając swoje korzenie w przeszłości. „Moda wtedy i teraz” to tytuł pracy. „Wtedy”, czyli dawniej w równym stopniu interesuję doktorantkę, co obecnie. Dokonuje analizy pojęcia mody w kontekście starożytnego Egiptu, Grecji klasycznej, średniowiecza ze sztuką romańska i gotykiem, renesansu, baroku, klasycyzmu, secesji, futuryzmu, modernizmu i konstruktywizmu, popartu, op-artu, posmodernizmu kończąc tę modową retrospekcję na współczesności z uwzględnieniem w sposób szczególny digitalizacji obrazu. W tych analizach pojawiają się wpływy na modę wynalazczości i rozwijających się technologii. Doktorantka w przejrzystej i dość krótkiej formie dla każdej z w.wym. epok i stylów przedstawia modę jako skutek powiązań ekonomii, polityki, nauki oraz kultury. Interesują ją w tym temacie zarówno rodzaje tkanin jak też media, którą tę modę podówczas propagowały. Techniki druku, barwienia, krawiectwo. Niby terytoria z osobna nam znane, po lekturze wstępu tej pracy dzięki autorce skutecznie zostały powiązane tworząc to coś, co w tej pracy zwie się „MODĄ”. Zatrzymanie chwili podobne uprawianej sztuce czyni Modę w równym stopniu odpowiedzialną za wizerunek epoki. Zapewne w tej recenzji słowo „Moda” pojawi się jeszcze wielokrotnie. Moda to, moda tamto, słowo - reklama naszego czasu. Najbardziej zaintrygowało mnie jednak jedno zdanie w przedstawionym mi opisie zdarzeń: „Zwykle przeciwstawia się tradycji...” Ponieważ bliższa mi jest kontestacja, dlatego zadam parę osobistych uwag.

Impresjonizm najbardziej powszechnie lubiany fragment sztuki kiedyś był w kontrze do historii i tradycji postrzegania malarskiego. Po latach zdiadział i jest jak pudeł siedzący wyczesany na kolanach. W dalszym ciągu ładny, ale jak to się zwykło mawiać: „obecnie nie modny”. Czy aby na pewno? Zręczny projektant manipulator poparty talentem na mocy powracających tendencji odważnie i z pomysłem mógłby poddać Impresjonizm reanimacji przywracając na powrót do obiegu. Czy można wrócić z taką samą emocją po upływie 200...400....tysięcy lat?

Czy malowidła naskalne mogą odnaleźć się w naszej rzeczywistości z pierwotną siłą? Bardzo bym chciał...podpowiada mi moje drugie Ja będące permanentnie w poprzek. Lecz chcenie to jest poważnie zagrożone. Wystarczy jeden spacer po domu towarowym IKEA, podczas którego w przedmiotach modnie praktycznych doświadczymy motywów dawnych epok w zręcznie wykonanych dywanikach, szafce, zasłonie prysznicowej czy też lampie stojącej. Do tego dochodzi świadomość pierwotnych rysunków zwierząt zamienionych w produkty logo podobne zdobiące niejedną papier listowy czy wizytówkę. Jesteśmy w epoce totalnego naśladownictwa rzeczy przeszłych. Dorabiając tym działaniom etykietę Postmodernizmu czujemy się w pełni usprawiedliwieni i zwolnieni od odpowiedzialności, by nie powiedzieć odważniej: myślenia. Tak jak nowe kontestowało stare, tak my tu i teraz w większości działań wizualnych zaledwie naśladowujemy owo stare. Oczywiście ktoś się zapyta: „a skąd wiem czy te, aby naśladownictwo nie jest właśnie nowym stylem?”. Ja osobiście nie używam umysłu do stwierdzenia i oceny naśladownictwa....to widać...niejedną z nas mając kontakt z tym felerem unikał komentarza z przyzwoitości do samego siebie. Zatem czy moda może kontestować posługując się naśladownictwem?. Według mnie właśnie wtedy powinna to robić. Wybierając na technikę własną kolaż rzeczy przeszłych, by nie było to tylko wtórne powinna eksperymentować. Coś jak prace Schwittersa albo Hockney'owskie kompozycje fotograficzne, bądź Baselizta portrety odwrócone. Do tego dodałbym Królową Elżbietę z agrafka w uchu, bezczelnie żółtego banana albo etykiety zupy pomidorowej zdarte z metalowej puszki. Tylko w rękach nawiedzonego artysty szaleńca ta powtórka zakończy się sukcesem i powstanie dzieło nowe w pełni oryginalne. Tylko taki typ może pozwolić sobie na twórcze powielenie. Dzieła owych desperatów stają się kolejnym elementem historii sztuki.

Czy doktorantka w swojej pracy jest takim szaleńcem?

Ciekawe pytanie. Podprogowo mam pewność, że wszyscy z państwa zasiadający w tej przewodowej Radzie Wydziału mając wgląd w pracę pani Anny Piesiewicz na to pytanie w głębi ducha już sobie odpowiedzieli. Być może ten wtęt jest zaproszeniem dla myśli zarówno tych krytycznych jak też w ramach balansu ujawnienia pozytywnych cech tej pracy. Jako nieuleczalny kontestator sam sobie zadaję pytanie, które kiedyś usłyszałem z ust mojego mentora Jerzego Krechowicza: „po co nam kolejny kalendarz ścienny?” Wszak żywot kalendarzy jest niebywale krótki. Często nawet nie nadążamy albo też zapominamy o nim nieodwracając kolejnych kart miesięcy w pogoni za swoimi sprawami. Gdy czas kalendarzowy się dopali na ostatnim miesiącu zastanawiamy się wtedy czy jest coś w nim specjalnego, by go sobie jak liść między stronami książki przechować, czy też skończy swój żywot w ramach akcji recyklingu papierowego?. Czym karmiona jest nasza chęć pozostania z nim na dłużej? Przecież nie kalendarium po czasie pozbyte aktualności, nawet, jeśli jest ono popisem umiejętności typograficzno estetycznych. To może ilustracje są tak szczególne, że trudno jest z nimi się rozstać? W dawnych czasach brało się nożyczki i wycinało, co ładniejsze ilustracje z kalendarzy i bombonierek oprawiając w cienkie drewniane ramki za szkło. Idealnie nadawały się do wystroju mieszkań, klatek schodowych, poczekalni. Czy ten kalendarz „modowy” ma takie powabne cechy by pozostać z nami na dłużej?

Karta „Styczeń”. Duża ilustracja monochromatyczna na mocno wytłumionym kontraście tła z cyfrą „1” rozlokowaną w samym centrum. Wokół motywy egipsko podobne, nie wiem do końca, dlaczego właśnie te, a nie inne. Całość ma charakter spontanicznej kompozycji jak dla mnie mocno przeładowanej. Twórczyni kierowała się zasadą zostawiania w miarę równych optycznych spacji pomiędzy elementami. Powiem prawdę, gdybym nie wiedział, że plansza dotyczy Egiptu (inskrypcja krótka pod kalendarium to wyjaśnia) to równie dobrze mogłaby dotyczyć kultury meksykańskiej ze względu na nagromadzenie egzotycznych roślin, owadów i papryczek chili. Karta „Luty”. Tak, to zapewne Grecja sądząc po labiryntowych formach ozdobnych i biegaczach, z których przywódca nie wiem dlaczego pozbawiony jest głowy. Elementy pozostałe można w równym stopniu uznać za greckie jak też brytyjsko - punkowe. Czy to jest wada czy też zaleta tej ilustracji sam nie wiem. Nota informująca o modnej Grecji jakoś nie znajduje swego głębszego odzwierciedlenia w tej ilustracji. Karta „Marzec”. Jak dla mnie jedna z bardziej udanych. Więcej w niej powietrza i oddechu. Katedralność połączona z gotykiem pisanym jest czytelna i w temacie opisywanej epoki. „Kwiecień”. Tak jak na pozostałych planszach konsekwentnie prowadzona jest zasada z cyfrą w centrum zdarzeń. Wokół motywy pisane wysampłowane z rękopisów oraz linearna sugestia architektury tej epoki. Według mnie w tej pracy całość ma tendencję do przechylania się w lewą stronę. Wynik braku wyważenia tej kompozycji. Kolejna karta „Maj” i „Czerwiec” są z lekka „rozwichrzane”. Odnosząc się do terminu „spontaniczność” jako siły pozytywnej i koniecznej mam na myśli chociażby prace Matissa i Miro, w których energia prostych form uwodzi i kokietuje. Na miejscu autorki ilustracji do kalendarza proponowałbym trochę dystansu do popełnionych kompozycji. Dygresja. By odnieść graficzny sukces są dwie skuteczne drogi. Albo się w takich wypadkach wali siekierą między oczy odważnie i bezkompromisowo albo zamienia się w aptekarza idealnie dobierając składniki, tzn. krew nietoperza i siwy włos ślepej jędzy. Innej drogi nie ma. Plansza „Lipiec”. To według mnie najslabsza z całego zestawu. Secesja. Och. Piękno secesji zamienione w szeregi ozdóbek i szlaczków, motywów w nieładzie poplątanych, zaś cyfra „7” jest poza czytelnością, zlała się w bulgotaniu całej formy. Poniżej w kalendarium przytoczony Toulouse- Lautrec zapewne ma wrażenie, że wylądował na obcej ziemi poza swoją epoką. Karta „Sierpień”. Udana. Widocznie futurizm, konstruktywizm z zasady pomógł autorce nie wyjść poza ramy stylu w ich ilustrowaniu. Jedna z lepszych kart. Na plus można zaliczyć z charakterem stopniowanie grubości użytych elementów. Karta „Wrzesień”. Tu nieco gorzej. Powierzchnowe podejście do op-artu. To trochę tak jakby naśladować Romana Opałkę bez teorii i myśli, która nim kierowała. W tej karcie zakłócenia optyczne owszem są, ale nie wiem dlaczego wydają mi się wtórne i nie tak „smaczne” jak oryginały tego stylu. Następny „Październik” jest w lepszej kondycji. Czytelne odniesie do Lichtensteina. Przyjemnie się tę pracę ogląda. „Listopad” także. „Grudzień” brutalny jako QR kod też dobrze wymyślony. Jedne z bardziej udanych prac. Co do edycji kalendarium to nie mam większych zastrzeżeń. Zwężony charakter fontu numeracji wygląda dobrze podany w jednej linii. Zachowuje czytelność. Podbicie kolorem świąt i dni szczególnych też jest optycznie słuszne i właściwe w użyciu. Może bym miał potrzebę powiększenia przez autorkę nazw tychże okazji szczególnych. Nawet dla okularnika to może być duże wyzwanie. Po tym moim marudzeniu i w wytykaniu błędów czas na powrót do zadanego wcześniej pytania. Czy autorka tej pracy wykazała się odwagą, by nie powiedzieć szaleństwem przywracając na powrót do obiegu motywy przeszłe, a wszystko wokół swojej pracy o modzie?

Z jednej strony to było szaleństwo i ryzyko konkurować z zafiksowaną i uznaną jako styl i kanon historią sztuki. Mam wrażenie, że to była świadoma decyzja. A na rzecz tejże świadomości przemawiają krótkie, ale treściwe opisy i analizy tłumaczące powstanie poszczególnych ilustracji. Autorka musiała zaznajomić się z dużą ilością materiałów wizualnych i teorii redukując ich nadmiar do pakietu potrzebnego do realizacji kalendarza. O jej pracy teoretycznej także zaświadcza bogata bibliografia, przez którą wypadło doktorantce „przekopać się”. Być może każdy z nas oceniających tę pracę inaczej zilustrowałby te dwanaście standardowych kart...może i tak. Ale sumując swoje doznania estetyczne i formalne nie mogę powiedzieć, by ten kalendarz źle wyglądał, choć znam go tylko z wydruków atramentowych w formacie A4. Podobno w tzw. „realu” edycja techniką sitodruku odbyła się na bardzo przyzwoitym poziomie.

W portfolio pani Anny Piesiewicz znalazłem dużo ciekawych i śmiałych w ekspresji prac ilustratorskich tych z pędzla będących prototypem działań na rzecz obranego kalendarza. Katalogi i materiały promocyjne wykonane na potrzeby Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej również dają dobry obraz umiejętności doktorantki. Nawet śmiałym twierdzić, że pani Piesiewicz lepiej wizualnie realizuje się pod nadzorem zlecenia z zewnątrz, co nie ukrywam dla niektórych bywa kłopotliwe i kończy się katastrofą i perypetiami wizualnymi, zaś w tym wypadku robi dobre wrażenie.

Jak przeczytałem w dorobku dokonań i edukacji doktorantka odbyła studia pod okiem wybitnych grafików, odbyła staże w wydawnictwie Hachette Filipacchi oraz agencjach reklamowych DDB, BNA i paryskiej pracowni Valerii Barnard Design. Tak jak wspomniałem wcześniej przez kilka lat była odpowiedzialna za materiały promocyjne i reklamowe Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Brała udział m.in. Tokyo Designers Week w 2014 r., Łódź Design Festiwal 2013, 23 Biennale Plakatu w Wilanowie, Poster Festiwal w Ljublanie w 2012, współpracowała z Teatrem Juliusza Słowackiego w Krakowie, wydawnictwem Świat Książki oraz przy wydarzeniach Air - Laboratory CSW w Warszawie. Obecnie korzysta ze swoich talentów prowadząc własne studio Pisak. Tak w skrócie wymieniona biografia artystyczna oraz przedstawiona mi praca doktorska oraz portfolio pani Piesiewicz daje mi przekonanie, że mam do czynienia z osobą nie przypadkowo zorientowaną na polepszenie kondycji wizualnej naszego świata. Dlatego pomimo wytknięcia paru istotnych dla mnie błędów w pracy przewodowej nie sposób mi odmówić rodzaju ciepłego uznania dla pracy doktorantki i tym samym ta recenzja kończy się swego rodzaju happy endem.

Konkluzja.

Po zapoznaniu się z pracą doktorską i dorobkiem artystycznym pani mgr Anny Piesiewicz wnioskuje przed szanowną Radą Wydziału Grafiki ASP w Warszawie o nadanie jej tytułu doktora w dziedzinie sztuk plastycznych, w dyscyplinie artystycznej - sztuki piękne.

